



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCO

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Mieliśmy Wielkanoc białą, pod śniegiem, zimną i niepogodną; natura nie brała udziału w uroczystym święcie Zmartwychwstania, więc zabrakło bardzo ważnego czynnika do rozradowania tłumów, które wysypały się na ulice w nadziei, że swoim widokiem rozchmurzą zasepione niebo i że będą mogły użyć choć trochę świątecznej uciechy.

Na Ujazdowie stanęły w długim szeregu budy, karuzele, huśtawki, namioty i tradycyjny słup z nagrodą zręczności i siły muskularnej, ale cóż z tego!.. widzów kręciło się po błotnistym placu nie wielu, a ci, co się odważyli, nie załując butów i trzewików przyjsić aż tutaj, mieli miny zziębnięte, bez humoru i fantazyi, która zwykła cechowała fiziognomią ujazdowskich gości w dniach wielkanocnych.

W polu białe i śnieżne, zima stoi obozem i choć się wcześniej poruszyła, nie zwijsza namiotów, jakby na przekór wszystkim, którzy się z jej końca cieszyć próbowali.

Zaczęliśmy Kwiecień, nietylko bezkwietny, ale nawet bezlistny i zamiast wiosny mamy siódmy miesiąc zimowy; miły klimat!.. z czasem chyba będziemy zrównani z Lapończykami, nie przestaniemy chadzać w kozuchach, a zaczniemy pić tran i jeździć reniferami nad modrą Wisłą, na której ryby łowić będziemy cały rok w przeręblach.

Towarzystwo wiosłarskie zamieni się wtedy na towarzystwo łyżwiarskie i będzie utrzymywało tylko lokal zimowy z bardzo woskowaną posadzką, po której co tydzień ślizgać się będą obowiązkowo wszyscy członkowie przy dźwiękach walca i galopady; może wówczas zbytecznym będzie ła-

mać sobie głowę nad sposobami ożywienia liczniejszych towarzyskich zebrań w tym lokalu i ściągania celniejszych członków na narady nad interessami instytucyi.

Zanim to jednak nastąpi, będziemy mieli zapewne jeszcze nie jedną wiosnę i niejedno piękne, choć krótkie lato, które najbardziej dopieczę gospodarzom wiejskim.

Czytałem w ich obronie artykuł byłego dziennikarza, a obecnie ziemianina p. Adama Niemirowskiego w „Słowie“, który dowodzi w dowcipny sposób, polemizując z Prusem, że los parobka jest korzystniejszym w dzisiejszym stanie rzeczy od losu obywatela ziemskiego.

Niby to w roli zchłopałego dziedzica wylicza pan N. dochody, jakie ma teraz w porównaniu ze swoim dawnym stanem i twierdzi wyszczególniwszy wszystkie liczby, że na utrzymanie rodziny dworski parobek ma około 300 rs., a że nie płaci podatków, ani mieszkania, wypada z tego, że ma więcej, aniżeli niższy urzędnik administracyjny na prowincyi, a przedewszystkiem więcej, niż jego pan, który żyje z pożyczanych pieniędzy i borykać się musi z rozmaitemi przeciwnościami.

Bardzo charakterystyczne zeznanie robi w końcu p. Niemirowski, które powinny być nauczką i przestrogą dla nas wszystkich, piszących przy redakcyjnym biurku o sprawach ziemiańskich.

„Ja sam przed trzema laty—powiada—pracując w dziennikarskim fachu, sądziłem o stosunkach wiejskich z książek i ze sceny i rozumiem się, byłem w zupełnym błędzie w ocenianiu sytuacji. Potrzeba zaistotrzeć na wsi, aby pojmovać fakta wedle ich istoty rzeczy“.

Pan Niemirowski posiada dziś własny majątek ziemski po nad pruską granicą i gospodaruje na roli, ma zatem możność porównania teorii z praktyką, a jak widzimy, porównanie to nie wypada na korzyść pierwszej, i sam już dziś utrzymuje, że lepiej jest orać gęsią, niż pługiem, przy którym się chudnie i mizernieje.

Jako przyczynek do charakterystyki stosunków prowincjonalnych znalazłem w korespondencji do „Kuryera Warszawskiego“, zajmujący opis faktu, który się wydarzył w miasteczku Kole: oto zjechał tam jakiś uczonej znachor i „cudotwórca“ i zaczął swoje praktyki wśród ciemnej ludności. Najpierw przywrócił mowę czeladnikowi blacharskiemu, z którym widocznie był w znowie, a gdy się wieść o tem po miasteczku i okolicy rozeszła, zaczęły się do „uczonego“ sypać tłumy z miasta i okolicy.

Zapomniano o medycynie i doktorach; z wszelkimi chorobami udawano się do cudotwórcy.

Filut musiał być sprytny, skoro naciągnął tylu łatwowiernych.

„Najwięcej zgłosiło się do niego kobiet bezdzietnych — mówi korespondent „Kuryera“; — każda z nich wchodząc, musiała oddać przedewszystkiem całą biżuterię, jaką nosiła, następnie zaś i odzież, poczem uczonej smarował ją jakimś płynem.

„Leczenie takie trwało trzy tygodnie“.

Nie dosyć mu było na praktykach tego rodzaju; wziął się do czarów i wróżbiarstwa. Obwieścił, że posiada sekret wygrywania wielkiego losu na loteryi, że przepowiada szczęśliwe numera premiowe i złapał dwóch dudków na takie obietnice. Krwiań gołębiczy zabitej nożem, którego oprawa zrobiona była z dwóch dukatów, a ostrze z dwóch funtów sterlingów, pokropił próg naiwnego właściciela premiówki, potem zawiózł go do Kutna wraz z jego kuzynem, ustawił obu w pewnem oddaleniu od siebie w pobliżu szyn kolejowych i kazał im przez sześć godzin nieustannie powtarzać tylko dwa wyrazy: 200.000 rubli i 75.000 rubli.

Aby zakłęcie skutkowało, nie mieli przez ten czas ani jednego słowa ze sobą zamienić. Cudotwórca zaś udał się wzdłuż toru kropić gołębią krwią szyny kolejowe i modlitwy odmawiać;

## FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Dalszy ciąg).

poszedł i — rozumie się, nie wrócił więcej do dwóch głupców, którzy go posłuchali.

I to wszystko dzieje się jeszcze w wieku bez przesądów, mającym pretensją do nazwy oświeconego...

Miałem słusność, domagając się większego udziału kobiet na walnych zebraniach „Merkurego“ i głosu ich w sprawach najbliższej gospodynie obchodzących; oto w sobotnim numerze *Słowa* znalazłem drukowany głos jakiejś długoletniej prenumeratorki, który powinien być odezwany się żywym słowem podczas półrocznych obrad na zgromadzeniu, gdzie podniesiona kwestya mogła wywołać raz wyjaśnienia i dyskusyją.

Uczestniczka „Merkurego“ i nie najgorsza gospodyni, jak o sobie skromnie powiada, dziwi się, jakim sposobem jedyne nasze spożywcze stowarzyszenie, liczące tylu uczestników, przy sprzedaży lub obrocie około 100.000 rs., z których większa połowa przypada na nie-uczestników, może dawać tylko tak małą dywidendę w stosunku 2½% swoim członkom stałym.

„Cóżby było — powiada — gdyby i druga połowa (nie-uczestników) brała udział w zyskach?.. wypadłoby chyba mniej, niż 1¼.“

Dla wynagrodzenia długoletniej służby pracowniczej, potrzeba było aż sięgnąć do kapitału rezerwowego...

Jeżeli przy znacznych obrotach, przy kupnie i sprzedaży tylko za gotówkę, przy administracji ludzi inteligentnych, a nawet znakomitości finansowych, instytucja taka tak lichy daje zyski, toć chyba kramarz, sklepikarz, drobni kupcy powinni dawno pobankrutować, mając do wyżywienia liczne rodziny, opłacając lichwę i tracąc na udzielonym kredycie.

Jakież mogą być przyczyny niepowodzenia tak poważnej instytucji?..

„Gdzieś tam za morzem, — pisze interpellantka, — podobno w Anglii (wyczytałam to niegdyś w pismach) istnieją takie stowarzyszenia spożywcze, które po kilkonastoletniej egzystencji przychodzą do własnych obszernych domów, posiadają kolosalne zapasy i zapewniają swoim uczestnikom wielorakie korzyści, a na ich czele nie stoją ani głowy finansowe, ani ekonomiści i t. p. wielkości społeczne, ale prości robotnicy.“

Nie wiem, co na to odpowie w interesie publicznym zarząd i jak tę sprawę wyjaśni, ale nie tyle chodzi o samo wyjaśnienie, ile o poprawę interesów instytucji, mającej bardzo ważne i praktyczne znaczenie; instytucji, którą można rozwinąć nierównie szerzej i praktyczniej, gdyby umiała zachęcić do uczestnictwa szersze koła dodatkniejszymi rezultatami gospodarki zbiorowej.

Zdawałoby się, że jakieś *fatum* przesładuje szczególnie „Merkurego“ i nie pozwala mu zrównać się choćby z mniejszymi stowarzyszeniami spożywczymi na prowincyi, które później od niego powstały i mają ciaśniejszy zakres do działania.

Oto czytam np., iż taki sklep spożywczy w Suchedniowie miał w roku zeszłym kapitału obrotowego zaledwie 6,201 rs.: towarów zaś sprzedał tylko za 34,532 rrs. a przyniósł czystego zysku 27%, mimo to, że koszta administracyjne wynosiły przeszło półtora tysiąca.

Zgromadzenie uczestników uchwaliło wyznaczyć dywidendę od udziałów na 9,75% i nadto 3,38% od wybranych w sklepie towarów.

Suchedniów, pokazuje się, jest tedy cztery razy korzystniejszym od Warszawy dla stowarzyszeń tego rodzaju, mimo to różnica w wysokościach dywidendy jest zbyt znaczną i nasuwa się pytanie, azali starczy skórka — z całego „Merkurego“ za wyprawę, jeżeli się żadną miarą nie da poprawić interesów tej instytucji w dzisiejszym stanie?..

Ale chyba tak źle nie jest.

Quis.

Szopen miał wielu znajomych i zyczących sobie ludzi w Paryżu, z którymi łączyła go nawet zażyłość poufała, ale nie miał przyjaciela i w listach jego do rodziny czuć tęsknotę do takiego stosunku, w którym nietylko nasza skłonność do towarzyskości, ale i uczucie serdeczne znajdowało-by zadowolenie. Podobne jemu natury — natury głębiej uczuciowe, potrzebują tego: jednego serca... jak wola Asnyk, który może ze wszystkich naszych sztukmistrzów i poetów jest najbliższej spokrewniony z Szopenem. Wkrótce przecież ta pustka w życiu jego została zapełniona: Matuszyński, niegdyś kolega szkolny i serdecznie mu miły a rozumny człowiek, przybył do Paryża w 1834 roku z Tubingi, gdzie się doktoryzował na fakultecie medycznym. Człowiek wyższego umysłu i nauki, jak tego dowodzi fakt, że wkrótce po przybyciu do Paryża otrzymał miejsce profesora w tamtejszej *Ecole de Médecine*. Że był to najbliższy przyjaciel Szopena świadczy, oprócz tego, co Szopen sam pisał, i to, co Sand w swoich *Wyznaniach* zamieściła skarżąc się na wielki wpływ, wywierany przezeń na Szopena.

Był on, niestety, za małym je szcze, skoro go uratować nie zdołał od Circe zdradliwej, która duszę z piersi artysty wzięła i życie z niej wypila. Pierwszym krokiem Matuszyńskiego w Paryżu, jak pisze w liście do szwagra, było iść do Szopena. Radość obydwóch była nie do opisania, jak list ten świadczy. Nie widzieli się już lat pięć i Matuszyński opisuje, że Szopen wyrósł i zmężniał do niepoznania, że jest „wysoki i silny“, że sława jego, jako kompozytora, jest wielka, przyczem dodany jest szczegół, że lekcji ma bardzo wiele, a żadna tańsza nie jest od 20 franków, co na owe czasy było ceną niepospolitą i świadcząca o wielkiem uznaniu talentu Szopena. Niecks przytacza listy innego jeszcze ziomka artysty, muzyka też, jakiegoś W. z Poznańskiego, który za przybyciem do Paryża w 1834 r. uważał sobie za obowiązek Szopena poznać, być u niego i tak czynili wszyscy, którzy interesowali się sztuką i wyższe jakieś porywy w piersiach mieli. Matuszyński zamieszkał z Szopenem; daleko mu było ztamtąd (Rue Chaussée d'Antin) do *Szkoły Medycznej*, do szpitali, ale jak pisze w liście do szwagra, miał poważne przyczyny, aby to uczynić. Kochał go silnie ten przyjaciel troskliwy i w liście przytoczonym znajduje się tkliwe, głębokie wyrażenie: „Jest on moim wszystkim!...“

I nie on jeden tak czuł. Siła przyciągająca ludzi była w Szopenie wielka i przykładła się nie mało do wzrostu jego sławy. Mistrz, zarówno jak jego utwory, wywierał na ludzi wpływ magnetyczny; Elsner przecież nie rad był temu, że się rozrywa za nadto, że daje lekcje, że komponuje tylko rzeczy drobne: żądał od niego napisania opery: opery na tle historycznym, a to ze względu już nie na sławę ukochanego ucznia, ale z miłości dla sztuki, aby motywa swojskie, z których Szopen tworzył, w szerszy zakres jej weszły. List starego nauczyciela wywarł na Szopena wpływ i zwrócił się nawet do Stanisława Koźmiana z prośbą, aby mu jakiego przedmiotu, z dziejów wziętego, wyszukał, ale był to skutek przelotnego jedynie wrażenia. — Nie chciał być Szekspirem i wolał pozostać Uhlandem muzyki, — pisze Niecks, dodając, że natura ta liryczna, tworząca przeważnie z pierwiastku uczuć własnych, nie mogła się nagiąć do tworzenia dramatycznego.

Przecież wszyscy bliżej mu i interesujący się jego sławą wywierali tu nacisk silny. Mickiewicz przyszedł raz do niego i napierał go bardzo żywo, aby siłą talentu swego na drobne piękności nie rozpraszał i stworzył jakieś dzieło wielkie. Szopen odpowiadał, że potrzebnych tu właściwości nie posiada i było tak rzeczywiście: był on jako kompozytor nazbyt indywidualnym, bo nie wyobraźnia, ale uczucie stanowiło główny motor jego twórczości i nie zdołał tak się poza osobistość swoją przerwucić, tak się w osobliwość inną wcielić, aby z tematu jej uczuć i myśli tworzyć. Może gdyby był żył dłużej, dominująca w nim siła uczucia osobistego byłaby się stała mniej wyłączną, ale zabrakło mu czasu.

Ta silna subiektywność sprawiała też ten skutek, że jako wykonawca cudzych utworów, jako wirtuoz nie miał on takiego powodzenia, jak na przykład Liszt. Wielka publiczność nie umiała go zrozumieć, nie umiała go odczuć nawet jako kompozytora. Bywały takie koncerty, gdzie wobec najszlachetniejszych jego dzieł, granych przez niego samego, publiczność pozostawała zimną, niewzruszoną i tylko znawcy klaskali. Sowiński wymienia jeden koncert taki w teatrze, na korzyść ubogich dany, w czasie którego sala, przepelniona od dołu do góry, zaledwie kilka skąpych dała mu okłasków i od tego to czasu głównie cofnął on się, przykro dotknięty, od występów publicznych. Niecks zbierał wiadomości pod tym względem na miejscu, w Paryżu. Kustosz konserwatorium paryskiego, wyższego zakresu pisarz i znawca muzyki, Gustaw Choquet, wtedy jeszcze młodzieniec, szczegółów mu tu dostarczył. Nie zapomniał on nic z tych pierwszych wrażeń „tak ognista gra Liszta, jak niewypowiedziana poezja stylu Szopena“ pozostała mu całkowicie w pamięci i zdanie swoje tak on tu wyraża: „Liszt przedstawiał w sposób cudowny wirtuozą, Szopen poetę muzyki. Liszt pragnął efektu i gonił za nim, chciał być Paganinim fortepianu, Szopen zdawał się nie uważać wcale na publiczność i tylko wewnętrzny głos swego słuchał. Bywał on też nierówny, ale kiedy go duch muzyki porwał, (*s'emparait de lui*) zmuszał klawisze, aby śpiewały w niesłyszany nigdy przedtem sposób. Zawsze widzę u niego pewną liczbę godzin poezji przejętych, których do śmierci nie zapomnę.“

Niecks rozumie tę poetyczną duszę i pisze: „Kto chce tłumy za sobą porywać, musi mieć w sobie siłę potężnego strumienia wielkiej rzeki. Szopen nie miał w sobie nic z potęgi Demostenesa, Cycerona, lub Mirabeau i Pitta; skoro tylko wychylił się poza koło sympatycznych mu duchów, najlepsza część jego delikatnego artystycznego przepadała bezużytecznie, — niezrozumiana.“

Czuł on to sam, sam to wiedział i odezwał się raz do Liszta: „Nie jestem stworzony na koncertanta. Tłum mnie przygniata, duszę się pod wpływem jego gorącego oddechu, jego ciekawe spojrzenia ubezwładniają mnie, wobec tych obcych twarzy moje ja wewnętrzne głuchnie. Ty jesteś do tego przeznaczony, abys, gdy publiczności nie podbijesz, zmiażdżył ją, i masz potrzebne do tego moce“. Oppozycja, obojętność działają na natury silne, jak ostroga na rumaka; Szopena przyrównywa też Niecks do czułka, do mimosy, która pod wszelkiem niepożądaniem dotknięciem zamyka się — zwija w siebie. Jest to może niesposobienie wszystkich natur tklivych i dumnych, którym potrzeba miłostnego współczucia ich istoty, i dla tego-to dumnie zamykając się w sobie, zawołał wielki poeta: — Z życia mojego poemat dla Boga!..

Szopena, jak Liszt twierdzi, bolała ta niemoc porywania za sobą ducha tłumów: „cierpiał nadtem, że na uroczystych tych zapasach, gdzie uznanie całego ludu wieńczy zwyciężcę, on występować nie mógł, do czego przeszkadzał mu bardzo brak sił fizycznych, przeszkadzała mu jego organizacja nerwowa. Wprawdzie uznanie tych, którzy ponad tym tłumem stali, uznanie wybranych, mogło mu owo niepowodzenie wynagrodzić; czy przecież tak było? Niecks ma może słusność, twierdząc, że królewską jest ta korona, którą ogół czoło mistrza wieńczy i dlatego popularność ma i mieć będzie zawsze swój urok, swój

czar wielki, który najdumniejszych podbija, a który przecież, zwłaszcza za życia, często nie dosta je się tym, którzy najwyżej stać będą w panteonie nieśmiertelnej sławy, jak Szopen jest tego dowodem.

Muzyka włoska wywierała na Szopena wielkie, głęboko przenikające go wrażenie. Niecks zaprzecza prawdzie tych słów, przypisywanych Szopenowi, że chciałby być pochowanym obok Belliniego, mieć grób obok jego grobu. Szopen miał inne życzenia pod względem swego ostatniego spoczynku, niemniej prawdą jest, że muzyka włoska, że Bellini silnie działał na niego, że i zachwycał go. Hiller świadczy, że na przedstawieniu „Normy“, której obok Szopena siedząc słuchał, widział przy finale drugiego aktu w oczach jego łzy. Wprawdzie śpiewał tu mistrz, Rubini, niemniej Szopen wielkie uwielbienie dla tej opery okazywał i wogóle muzykę włoską wielce ceniał. Opery Rossiniego zachwycały go również, co Niecks, który ma skłonność do uogólniania, przypisuje smakowi wrodzonemu, smakowi dzielonemu z całą jego powszechnością; przypisuje on to naszemu pokrewieństwu duchowemu z Włochami i wielu cechom wspólnym naszego i włoskiego charakteru. Czy tak jest? W tem przecież, na co Niecks zdaje się tu kłaść nacisk, może się nie myli: nasza siła zapału, gorącość uczucia, może zbliża się do włoskiej.

Sympatya Szopena dla Belliniego wzrosła jeszcze przez podobieństwo ich skłonności, ich gustów i ukochań. Estetyk francuzki, Leon Escudier, znajdował wiele punktów stycznych, nietylko między Szopenem i Bellinim, ale między Szopenem i Rafelem. Wdzięk, słodycz, idealność postaci Rafaela zdawała mu się być pokrewną z tklivem, słodkiem, czystym tonem muzyki Szopena, w której brzmiała nuta jakgdyby za niebem tęskniącej, z ziemskich namiętności oczyszczonej pieśni. Wpływ włoskiej muzyki wykazał się o tyle w sonacie B-moll (opus 35) że Schumann o tem wspomina, dodając przecie, że jest to odzywające się jedynie w przegrywce leciuchne tchnienie południa, zpoza którego występuje zaraz Sarmata, ze swoją śmiałą oryginalnością myśli i uczuć, tęsknot, pożądań własnych.

Aby zrozumieć sympatya Szopena do Belliniego, trzeba wiedzieć jak ten mistrz włoski pojmo wał muzykę. Kiedy po przedstawieniu jednej z jego oper w Paryżu, ktoś z francuzkich jeszcze wielbicielei powiedział mu, że jest tam dusza jego, błysnęły mu oczy. — O! tak! — zawołał — prawda, że tak! Jest tam dusza i tego jam też chciał. Cała muzyka to dusza...

Blizkie też stosunki łączyły go z Szopenem, który bardzo często spędzał razem z nim wieczory w małym kółku, w domu Francuzki z pochodzenia, ale w Neapolu urodzonej i wychowanej, M-me Freppa, mieszkającej z matką na Faubourg Saint-Germain. Głos miała niewielki, ale bardzo czysty i wedle najlepszej metody wyrobiony. Pieśni ludowe włoskie, lub starych włoskich kompozytorów śpiewała bardzo wdzięcznie i czysto. Kółko muzyków, do którego należał Szopen, bardzo chętnie tam bywało; mieszkała na trzecim piętrze i hałas, oddźwięki paryzkiego ruchu już tam nie dochodziły; rozmawiano przyjemnie o muzyce, grano, śpiewano. Szopen i gospodyni domu kolejno siadali do fortepianu, często Bellini akompaniował, M-me Freppa śpiewała i były to dobre, szczęśliwe czasy w życiu Szopena, który w lecie 1835 roku wyjechał z Paryża do Czech, gdzie z rodzicami w Karlsbadzie się spotkał i ztamtąd do Drezna z nimi pojechał — do Drezna, do Lipska, gdzie go czekali, gdzie na przyjęcie go czyniono przygotowania i gdzie przybycie jego ogłosiło pismo muzyczne, wydawane przez Schumanna, sprawiając takie wrażenie w tamtejszym świecie muzycznym, że sobie o tem ludzie na ulicach mówili: — Szopen przyjeżdża! Aż nakoniec zobaczono pewnego poranku Mendelssohna, który, prowadząc się pod rękę z młodym paniczem, szedł ulicą i domyślono się: kto to jest — domyślono się, że Mendelssohn prowadzigo do tamtejszej znakomitości muzycznej — do Fryderyka Wieck i jeden z jego uczni, który idących spotkał, pobiegł mistrzowi swojemu odwiedziny te oznaj-

nić. Wieck już o przybyciu Szopena wiedział, już wszystkie muzykalne znakomitości Lipska do siebie sprostili, i czekali go, tego młodzieńca, jak potęgę jakiejś, ale czekali dość długo, ponieważ Mendelssohn do niektórych znajomych muzyków po drodze wstąpił, aby im zrobić przyjemność zobaczenia, poznania Szopena, którego przecież u Wiecka oczekiwano tak niecierpliwie, że gospodarz, domyślając się co się stało, uczuł się obrażonym i do swego pokoju się wycofał. Gdy nareszcie Szopen się zjawił: młodzieniec elegancki, pełen wdzięku w ruchu każdym, nie było gospodarza, aby mu go przedstawić. Że przytem Mendelssohn miał też gdzieś interes pilny, i nie widząc gospodarza, obraził się z kolei, przybyłego głosem wypowiedzeniem jego nazwiska ogólnikowo przedstawił i odszedł, Szopen przecież nic na humerze, na śmiałości nie stracił, bo przybywał on tu rzeczywiście z zamiarem poznania jedynie Klary Wieck, której sława jako pianistki już bardzo głośną była.

Nie wiedział, że się tu miał spotkać z kobietą, która go najsilniej, najprawdziwiej kochała i którą gdyby był i on umiał tak pokochać!

Była to rzeczywiście jego pierwsza miłość, bo uczucie, które obudziła w nim Konstancya Gładkowska, to raczej młodzieńcze o miłości marzenie, sen wiosennej nocy, śniony poetycznie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg)

— Kiedy tobie pora się wracać, to wracaj, zozulo. Pocięzyła ty mnie, polubiła. Na nockę ja się teraz raduję jak na gody — twego przybycia wyglądam!

Znachor w stronę tę cisnął nożem, ale ostrze przebiło próżnię i zadzwoniło o ścianę.

— Co to? — Tychon krzyknął.

Czyruk zapalił lampkę.

Syn leżał na wznak na pościeli, potem zimnym oblany i dyszący jak po wielkiej męce. Oczy miał bezmiernie rozwarte i w jeden punkt utkwione.

— Co tobie, synku?

— Nic. Zmęczył się!

— Znowu ty coś widział?

— Ale! — Przychodziła ona, i co noc już obiegała chodzie!

Z trudnością odpowiadał.

Swiecy nie gasząc, przesiedział nad nim ojciec do ranka.

Znowu dzień minął. Tychon pracował, ale niechętnie, zadumany i blady. Jadała nie tknęła i gorączkowo świeciły mu oczy.

Gdy noc przyszła, Czyruk światła nie gasił, w okna pozabijał noże, sznurek jakiś na progu położył — i czuwał.

Tychon zasnął i spał godzin kilka. Zdawało się staremu, że złe moce zwojował, gdy około północy parobek na pościeli siadł, gdzieś daleko wzrok wyteżając i słuch.

Potem się zerwał na równe nogi.

— Czemu wy siedzicie, taj światło palicie? Idźcie spać, idźcie! — wołał do, lampki rękę wyciągając.

— Kładź się! — krzyknął ojciec.

— Odczepcie się odemnie! — Co mi na złość czynicie? Ona-że za oknem stoi, i woła, żeby noc zrobić w chacie. Przyszła już, a wy ją za drzwiami trzymacie! Jej teraz godzina i moja! Zostawcie nas!

Lampkę ze stołu porwał i zgasił. Czyruk za ręce go wziął i ku posłaniu popchnął. Ale młody wściekły miał teraz siłę i aż drżał cały.

— Zostawcie nas, a nie to ja pójde do niej, gdzie zechce! Jej to godzina.

Cicho — już idzie!

Znachor upadł na ziemię zgębiony, i znowu izbę napełniły szmery miłosnej rozmowy — zgrozy pełne dla słuchającego.

I znowu dzień przyszedł. Tychon w oczach nikał i czerniał, do jadała miał wstręt. Ciągłe tylko nocy wyglądał, chwilami trzęsąc się jak w febrze, nie słysząc, co do niego mówiono, zmore opętany.

Czyruk dawał mu ziola różne, okurzał, szeptał; ale noc następna od tamtych była podobną, gorszą, bo po niej zostało większe wyczerpanie i osłupienie na parobku. Wstręt miał znachor ludziom się przyznać i rady prosić, — on, najmądrzejszy; bał się też światłem i czuwaniem chorego gorzej rozdrażniać. Wziął tedy maku czarnego i ostrej kolek i poszedł tajemniczo na Kniazie.

Wynalazł pod śniegiem Łucysiną mogiłę.

Znać ją było po fartuchu wyszywany, który matka zawiesiła, po paciorkach opasujących ramie krzyżyka, po śladach Makuszanki świeżych.

Znachor wokoło makiem ją osypał i w środek skopeczyka wbił swój drąg ostry. Oparł się o trumnę, więc go siekierą wbił głębiej na wskroś ciała, aż się cały w ziemi schował. Potem ślady swego czynu zatarł i odszedł. Ale w nocy ta zamordowana, po śmierci do ziemi przygożdżona, znowu przysła do Tychona. Wypijała mu krew z twarzy, zabierała moc całą, dławiała go w pieszczotach. Nie miały nad nią już władzy żadne czary. I ujrzał znachor, że to zguba po niego przyszła i upokorzył się okropnie, byle to jedno kochanie swoje ratować.

Poszedł do Makuszanki.

Zastał staruchę siedzącą beczynnie u komina, nad przesniącą lnu pełną.

Może myślała — po co prząść!... Ujrawszy go, nie pozdrowiła, ani wstała, ani nawet nie okazała żadnego uczucia.

Sięgnęła tylko po wrzeczono i przędła.

— Czemu to wy za Łucysią waszą „stołu“ nie odprawicie (nabożeństwo żałobne)? — spytał ponuro.

— W czystości kto pomarł, „stołu“ nie potrzebuje — odparła bezdźwięcznie.

— A widać, że potrzebuje, kiedy w mogile spokoju nie ma i do ludzi chodzi.

— Zeby mszy chciała, to do mnie-by przyszła. Kiedy chodzi, to wie do kogo i pocol — rzekła baba, dziko nań spoglądając.

— Wy jej chodzić zabrońcie. Matki posłucha. Dziesiąta noc jak mego Tychona męczy!

Makuszanki twarz kureczyła się strasznie.

— Chcieli wy jej za synową przecie! Otruli, żeby niczyją nie była! Teraz czego chcecie? waszej woli „ten“ posłuchał. Macie synową! Na własny byt odemnie poszła! A wy czego tutaj? Może i mnie chcecie! Oj przyjdę i ja do was kiedyś — przyjdę!

A teraz idźcie!

Wstała, taka strasznie groźna, że znachor uszedł przed jej oczu, z tej chaty osieroconej.

Pomimo tajemnicy wieść o chorobie Tychona, niejasna — przedarła się do wsi.

Ludzie zachodzili do nich i ciekawie się przyglądali, baby bayały straszne dziwa.

Czarodziej sponurzał do reszty. Cały dzień na ławie siedział, bijąc się z myślami. Ludzi przychodzących po poradę zbywał burkliwie, do gospodarstwa nie wychodził, przestał jeść warzyć, bo nikt nie jadł.

Odwiędził go raz Sydor Hubenia, prosząc o pożyczanie kilku rubli.

— Ja powiem, co waszemu chłopcu jest — szepnął konfidencyjnie.

— Powiedz! — gorączkowo Czyruk spytał, pieniądże wyjmując.

— Uczyna to jest Huców. Zrobiła Przytulanka za ów chomont — pamiętacie!

Słyszał onegdaj Kiryk jak Karpina mówił: „Pomrze Tychon — za mój półszorek“, a Przytulanka dodała: „Ale, synku, na niego padło, taj zostanie tak!“

Znachor nic nie odrzekł.

Znowu siedział bezradny i na syna patrzył,



niejednokrotnie szepty żalu, iż ostatnia to już serya koncertów w bieżącym sezonie. Wprawdzie sala resursy jest bardzo, bardzo niewielką, lecz i ona, bywało, świeciła pustkami.

Wracając do treści wieczorów kameralnych, drugi z kolei składał się z samych dzieł Beethovena, mieszcząc tak dziś wyjątkowo interesującą Kreuzerowską Sonatę. Interpretatorami byli pp. Szlötzer, Trombini, Barcewicz, Stiller i Aloiz. Na ostatnim wieczorze usłyszeliśmy najpierw kwintet smyczkowy Schuberta, utwór, który zdolen jest unieść częstokroć, wzruszyć głębokim liryzmem, płynącym szeroką falą napiętniejszych tematów; lecz obok tego forma rozwlekła, nieujęta w granice "proporcji estetycznych, nuży słuchacza, obudza w nim chęć wychnienia i zarazem nie pozwala ogarnąć dzieła jednym rzutem myśli, zdać sobie zeń sprawy ogólnem jakimś zasadniczem wrażeniem. Utwory Schuberta porównał ktoś do równin gęsto zaludnionych wioskami, zasianych różnobarwnem zbożem, gdzie oko mile i słodkie obrazy co chwila spotyka, lecz całości objąć nie może, i tęskni nareszcie za krańcem widnokregu, gdzie, niestety, zawsze coś nowego majaczeje i w dalszy ciąg pejzażu się przetwarza. Następny numer programu stanowiło Trio Mendelssohna D moll; pięknie to stylowe dzieło odtworzyli pp. Michałowski, Aloiz i Barcewicz, stapiając, rzecz można, odrębne indywidualne cechy swego wirtuozostwa w jedno ognisko najświetniejszych promieni, przy których blasku, część każda, każda fraza kompozytorzy wyłaniała się jak rzeźba jednolita a subtelna. Znakomitej interpretacji już nie można wymarzyć. Po oklaskach i niepomahowanych bisowaniach, które zmusiły pana Michałowskiego do gry solowej nad program, usłyszeliśmy jeszcze kwartet smyczkowy Czajkowskiego op. 22 N. 2. Oryginalny ten twórca czerpie ze źródła ludowej pieśni ożywczy i zdrowy pierwiastek, unikając trywialności, w którą łatwo wpaść na tej drodze. Idee swe przyobleka w kształty wytworne, a niejednokrotnie nawet zastanawia pomysłami i barwnością faktury, która jest tem cenniejszą, iż nie stanowi, jak u wielu tegoczesnych autorów, kompensaty za ubóstwo myśli i natchnienia. Uwaga słuchaczy rozbudzoną była aż do końca wieczoru. Zajęcie się ogólnie wroży też rozwojowi muzyki kameralnej dobrą przyszłość.

Inny objaw działalności i pracy konserwatorium stanowił wielki koncert na rzecz tej instytucji, koncert, którego zapowiedź podaliśmy w zeszłej naszej pogawędce. Odbył się on w poniedziałek Wielkiego Tygodnia w sali ratuszowej wobec tłumu publiczności, przedstawiającej w swem łonie różne sfery naszego społeczeństwa. Tutaj jednak czujemy się w kłopotcie, jakim motywom owo liczne zgromadzenie przypisać. Był li to impuls obywatelskiego obowiązku względem instytucji, która domaga się poparcia; czy też atrakcją stanowiła znakomita fortepianistka pani Anetta Essipow, swoim występem urozmaicająca koncert złożony z dzieł poważnych, ciężkich, jeżeli użyjemy ogólnie przyjętego wyrażenia, a wypracowanych przez uczniów i uczennice konserwatorium? Nie dziw, że pytanie to się nastęrcza, mimowoli bowiem nasuwa się i wspomnienie podobnych koncertów w konserwatoriach zagranicznych a dalej i porównanie ztąd wynikające. W Paryżu rzeczywiście *great attraction* są popisy już-to solowe uczniów, już-to zbiorowych sił, jak chóry, orkiestra. Za ledwie na olbrzymiej estradzie, zbudowanej amfiteatralnie, ukazały się młodociane zastępy, wita je serdeczny, rzęsisty oklask, dany *a priori*, jako zachęta i objaw sympatii. I objaw ten zajęcia się, ten poklask dla uczniów konieczny i pożądanym, trwa do końca. Ma on też znaczenie poważne i nieprzemijające, które się nie zaciera, jakkolwiek nazajutrz krytyka na stanowisku swem sprawozdawczem wypowiada swe często surowe sądy o różnych metodach pedagogicznych i prowadzeniu klas przez profesorów. U nas aż nadto daje się uczuć pobieżne traktowanie wszelkich uczniowskich popisów, a zdarza się, jak i tym razem było, że po zejściu z estrady znakomitej wirtuozki sala się przeredza, przy szmerze kroków odchodzących dopełnia się pro-

gramu, chociażby chodziło o tak cenne a trudne dla uczniów dzieło, jak *Orfeusz* Glucka lub temu podobne.

Zgadując tedy upodobania naszej publiczności, śmiało możemy twierdzić, iż powodzenie tutejszego koncertu zawdzięczamy pani Essipow. Znakomita wirtuozka obdarzyła nas koncertem Saint-Saëns'a z orkiestrą oraz kilkoma drobniejszymi utworami: Bacha, Szopena, Leszetyckiego, we wszystkim potwierdzając przekonanie nasze, iż tylko taki sposób traktowania wirtuozostwa, gdzie nadstroną techniczną, choćby najdoskonalszą, góruje duchowy polot, uczucie, pojęcie myśli kompozytorskiej, tylko interpretacja, dla której mechanizm ręki środkiem jest, a nie celem, zwać się może godną artysty i prawdziwie podniosłe wywrzeć wrażenie. Gra pani Essipow obok właśnie doskonałej techniki, porywa idealizmem i poezją: to też pragnęłoby się słuchać i słuchać, zawsze do uniesień lub reflexy znajdującej pole. Na tymże koncercie wystąpił również pan Aloiz, prześlicznie odegrałszy koncert Servais'go z akompaniamentem orkiestralnym. Nie będziemy dziś rozważać wysokich stron talentu tego artysty, któremu, ilekroć występuje, podzięką jest szczere i ogólne uznanie: wyrazimy tylko żal, iż tak mało cennych dzieł znajduje się wśród kompozytorzy odnośnych, a wirtuoz wiolonczellista, z konieczności odtwarza kompozycje płytkie, powleczone złudnym pokostem salonowej elegancji, byle dobrze i popisowo dla instrumentu napisane. Resztę programu koncertowego wypełniły: Walpurgisnacht, Mendelssohna, Stabat Mater, Salvayra, i Orfeusz, Glucka (Finale aktu 2-o) wykonane przez chóry i głosy solowe Instytutu, oraz orkiestrę Teatru Wielkiego. Ogólną dyrekcją koncertu przyjął na siebie p. Cezar Trombini.

Od konserwatorium przejdziemy teraz do drugiej instytucji, mianowicie do Towarzystwa Muzycznego, które swojemi wieczorami głównie ożywiło kilka tygodni ubiegłych, starając się o dobór i różnorodność w programach, aby, o ile możności dogodzić, zarówno estetycznym, jak i dyllentanckim upodobaniom. Na jednym tedy z większych wieczorów wystąpił pan Konstanty Gawryłów, młody utalentowany skrzypek, który szybkimi krokami dąży ku wyżynom artyzmu. Dziś już posiada niepospolitą technikę i rzetelny zapał: trzeba tylko, by gra jego nabrała więcej spokoju, hamując zbyt nerwowym temperamentem, który czasami oddziaływa ujemnie. „Chaconne“ Bacha na same skrzypce, „Tamborin“ Leclair'a, „Taniec węgierski“ Brahma-Joachima a nad program wybornie odegrane „Perpetuum moto“, Riesa, wynagrodzone zostały owacyjnym gradem oklasków. Mniej dobre wrażenie wywołała panna Meyersohn fortepianistka, uczennica Pabsta. Brak jedności w rytmice, brak siły i werwy, brzmienie tonu gławe i rozwiewne, nie mogły się przyczynić do uwydatnienia konturów i szczegółów Sonaty Beethovena E moll, ani ujawnić zalet kilku mniejszych kompozycji (Rubinsteina, Lindowa, Moszkowskiego), któremi obdarzyła nas koncertantka. Wokalny dział przypadł tym razem panie Kwiecińskiej, za co szczerze wdzięcznym byłoby audytorium, albowiem panna Kwiecińska posiada niezmiernie sympatyczne brzmienie głosu i duże wyrobienie koloraturowe. Na program jej złożyły się: „Pieśń słowika“ Haendla, „Pieśń“ Brahmsa, „Mazurek“ Szopena i „Jubilate“ Scholza z akompaniamentem chóru żeńskiego.

Towarzystwo Muzyczne, umiejac korzystać z pobytu znakomitych artystów, by przy ich współdziałaniu dostarczyć członkom swoim chwil czarujących, dało nam usłyszeć jeszcze w przeddzień wielkiego koncertu konserwatorium, panią Annettę Essipow, która tym razem wybrała na program: „Waryacje i Fugę“ Haendla-Brahms'a, „Melodya“ Paderewskiego, „Espiegle“ Noskowskiego, „Sicilienne“ i „Mazurka“ Leszetyckiego. Pierwsza z tych kompozycji (Haendel-Brahms) mniej dostępna dla ogółu słuchaczy Towarzystwa, posiada wysoką wartość dla artystów, ze względu na czystość stylu, oraz gruntowne, pełne oryginalności i wdzięku opracowanie. Na takich utworach najlepiej też daje się ocenić gra uduchowiona prawdziwie inteligentnem pojęciem i szla-

chetnością a prawdą expressyi. Śliczny głos panny Zapalkiewicz rozbrzmiewał tego wieczora w arii Beethovena „Ah Perfido“, odśpiewanej artystycznie, oraz w dwóch lirycznych kompozycjach: „Romans“ Rubinsteina i „Com zrobita“ Guercia. W środę zaś Wielkiego Tygodnia doznaliśmy uczuć prawdziwej radości i zachwytu, gdy na estradzie Towarzystwa Muzycznego, uderzył nas widok licznej gromadki dziatwy, przypominającej wiosenne różnobarwne kwiecie, i gdy na dany znak dyrektora Noskowskiego młodziuchna ta drużyna zaczęła śpiewać z taką rytmiką, precyzją i czystością intonacji, jakiejby nie jeden artysta dobiutant mógł pozazdrościć. Szczera uciecha i zajęcie, które ożywiało dziecięce twarze, udzieliło się słuchaczom, prąd magnetyczny płynął ku nim od tych malutkich wykonawców, nawzajem oddziaływając dodatnio. Lecz nie chodzi tu o chwilową miłą dywersyję i ponętę nowości, jeno o wysoki pedagogiczny cel, który podjął dyrektor Noskowski, otwierając przy Towarzystwie Muzycznym szkołę śpiewu dla dzieci; celem tym — umuzykalnienie choć cząstki tego pokolenia, które wzrasta, przygotowanie gruntu pod zasiew nauki głębszej, rozbudzenie rzetelnego zamiłowania muzyki, które jedynie tylko wyplenić może pseudomelomanią, w upodobaniach swoich kapryśną a w sądach częstokroć arbitralną. W wyżej wymienionym koncercie przyjęły udział: panna Paulina Krzykowska, znana sympatycznie fortepianistka, pani Stanisława Haman, obdarzona bardzo ładnym mezzo-sopranem, oraz pan Królikowski, fletcista, i p. Tylicki jako deklamator.

Ofiarność, z jaką spieszą artyści nasi, gdy chodzi o cele dobroczynne, dała pochopt do urządzenia wielkiego koncertu na rzecz V-ej szwalni Towarzystwa Dobroczynności. Odbył się on w połowie ubiegłego miesiąca, przebrzmiałe zatem nieco echa niesiemy; trudno jednak pokryć milczeniem szereg imion znakomitych lub sympatycznych, który jaśniał na hojnym programie. W dziale instrumentalnym przyjęli udział: panna Amelia Reichmanówna, która ślicznie odegrała: „Andante“ i polonez „Es dur“ Szopena, „Barkarolle“ Rubinsteina i „Krakowiaka“ Noskowskiego; pan Aloiz dał nam dwie części koncertu „H moll“ Goltermiana. Śpiew podjęły: pani Emilia Trombini (Arya z op. Bizeta „Poławiacze perel“ i „Znasz li ten kraj“ Moniuszki), panna Józefa Szlezycierówna (Pieśni Żeleńskiego i Moniuszki), pan Wł. Miller („Chociaż to życie“ Komorowskiego i „Dumka“ Millera). Wśród tego bogactwa muzyki pani Helena Modrzejewska rzuciła garść klejnotów poezji, oddanych z właściwym jej tylko czarem głosu i potęgą uczucia.

Ostatnie wrażenie, jakim podzielimy się czytelnikami, jest to występ panny Janothówny, która po dłuższym pobycie zagranicą, przybyła zaprodukować naszemu miastu zdobycze swej wiedzy i rozwój swojego talentu. Występ na koncercie Towarzystwo Muzycznego (d. 1 kwietnia) dość sympatycznie ku niej usposabia. Nie jest to zapewne potentatka fortepianu i względnie do dzisiejszych wymagań technikę jej można nazwać średnio rozwiniętą, lecz pojęcie kompozycji odegranych było nader trafne, upodobanie zaś indywidualne ujawnia się w starannem rzeźbieniu szczegółów i drobiazgowej subtelności, z jaką panna Janothówna każdy ornament muzyczny wykończa. Pewne kompozycje na tem zyskują, ale Sonata Beethovena op. 90, lubo dobrze wiedeź zrozumiana, w interpretacji domaga się szerszego nieco traktowania i potężniejszych akcentów. Zauważyliśmy też pewną manierę w uderzeniu, akcesoryum zupełnie zbyt czułe. Panna Janothówna odegrała jeszcze „Nocturne Cis moll“ Szopena, „Romans“ Klary Schuman, „Gawot“ Janothy i „Karnawał“ Schumana. Dywersyją na tym koncercie sprawiło ukazanie się na estradzie panny Gamowieckiej, wiolonistki, mało bowiem oswojeni jesteśmy z widokiem instrumentów smyczkowych w niewieścim ręku. Panna Gamowiecka zdołała od razu porwać audytorium dzielnością techniki, zacięciem artystycznym i zapałem, który rzeczywiście talent ujawnia. Usłyszeliśmy „Andante“ i „Finale“ z koncertu i dwa Mazurki Wieniawskiego. Iskry talentu znać

czuć także w śpiewie pana Birnbauma, znać jednak, że tylko intuicyjnie zwalcza wokalne trudności takiej *np.* Aryi, jak „Adelaida“ Beethovena, zaśpiewanej z poczuciem i zrozumieniem. Tem większa szkoda że p. Birnbaum nie stara się o przeprowadzenie systematycznych studyów, któreby podniosły i wyrównały emisję jego pięknego głosu. Pogawędkę zakończył musimymy smutną refleksją co do śpiewu panny Radolińskiej, która w powyższym koncercie również występowała; wydaje nam się sprawą sumienia, rozwiać artystyczne uludy, jeśli są jakie, — ani bowiem dźwięk głosu, ani warunki słuchu, nie dają pannie Radolińskiej, dostatecznej rękojmi, by praca w kierunku muzycznym wydała płon szczęśliwy.

Juljusz Stattler.

## NOWINY PARYZKIE.

Wielki Tydzień. — Kościoły i nabożeństwa. — Królowa angielska we Francji. — Mieszkanie jej w Grasse. — Środopostne zapusty w Paryżu i święto praczek. — Królowa tej zabawy i jej orszak. — Rekolekcyje dla swoich i dla cudzoziemskich kolonii. — Głuchoniemi i Bretończycy. — Pan Drumont i jego testament anti-semitę. — Talleyrand i dwa pierwsze tomy jego pamiętników. — Komunikacya telefoniczna między Paryżem i Londynem. — Otwarcie. — Nowiny teatralne. — „Czarodziej“ (Mage), opera Massenet. — *Marriage blanc*, dramat p. Lemaitre'a. — Nowy dramat historyczny p. St. Rzewuskiego, „Cesarzowa Faustyna“, przedstawiony w teatrze de la Porte Saint-Martin.

Paryż, 1-go Kwietnia 1891 r.

Arcy-sprawiedliwą zrobił ten uwagę, kto powiedział, że radby widział ministrów naszych, zwiedzających kościoły Paryża w czasie ostatniej Niedzieli postu. Przekonaliby się oni tym sposobem, w jakiej sile są jeszcze wiara i obrzędy katolickiej religii u tutejszego ludu.

Być może, iż uczucie religijne, które prowadzi tłumy ludu do stóp ołtarzy w te dni, kiedy Kościół nasz święci pamiętkę Męki Chrystusa Pana, nie jest ani zbyt głębokie, ani zbyt potężne. Nie wiem: czy Kościół, tutaj szczególnie, może liczyć i polegać, jak na Zawiszy, na tych wszystkich, co zapelniają dzisiaj świątynie. Zapewne jest między nimi wielu o słabem sercu, są może nawet i obojętni; jednakże większa część stoi wierna przy chorągwi wiary Ojców swoich.

Czemuż więc i na co upierać się, drażnić i obrażać ludzi, których opinie są serdeczne, niewinne i poczciwe? Dlaczego nie chcieć uwierzyć temu, że wiara i przekonania religijne są dla wielu potrzebą moralną, pociechą, zadowoleniem, i że przesładowanie nie potrafi ich wykorzenić nigdy?

Zaczawszy od Niedzieli kwietniowej, kościoły były tak przepelnione od rana do wieczora, że z trudnością można się było dostać do wnętrza, skoro się trochę spóźniło. Odwiedzanie Grobu Pańskiego, wszędzie urządzone w wielką świetność, było prawdziwie budujące, i co do liczby wiernych i co do ich zachowania się i skruchy.

Po niespodzianej, a trochę zaburzonej, wizycie, oddanej Paryżowi przez cesarzową niemiecką Fryderykową, nastąpiły, choć przelotne, ale bardzo spokojne, a co rok o tej porze powtarzające się, odwiedziny jej matki, królowej angielskiej, która zwykle przepędza kilka tygodni wiosennych na czarodziejskich wybrzeżach Morza Śródziemnego we Francji.

Tego roku, na miejsce jej pobytu, wybrane zostało Grasse, mała miejscina Prowancji, sławna ze swych kwiatów i fabryki perfum.

Miasteczko, zabudowane w amfiteatrze, na jednym z ostatnich stoków alpejskich Prowancji, przedstawia zachwycający widok. Z dworca kolei prowadzi doń wężkiem wijąca się droga, z której podróżny ma ciągle przed oczyma błękitne morze i czarodziejskie widoki, niesłychanie malowniczej natury tych wybrzeży. Drogę tę ze wszech stron otaczają śliczne ogro-

dy, tak, że się podróżuje wśród kwiecica i woni aż do samych wrót miasta, gdzie droga zamienia się w szeroki bulwar, miejsce przechadzki i wypoczynku, który na całą długość przerzyna miasto od końca do końca.

W pomroce tej wspaniałej alei, naprzeciw czarującego widoku na morze i rozległe wybrzeża — wznosi się dom, czy pałacyk, jak chćecie, *Grand-Hotel*, od 25 Marca zajęty całkiem na mieszkanie królowej i jej dworu.

Apartament królowej na 1-m piętrze składa się: z obszernej sypialni, z dwoma pokojami, tak zwanymi *Cabinets de toilette*, i z wielkiego salonu z przedpokojem.

Dwa wielkie okna, dające widok na bulwar i morze, oświetlają sypialnię, której ściany, bez żadnej innej ozdoby, pokryte świeżem malowaniem à la détrempe, koloru *agua marina*, są równie wielkiej prostoty, jak całe umeblowanie. Machoniowe łóżko, kanapa, dwa fotele, pokryte jasno-zielonym aksamitem, firanki i dywan o barwach matowych: oto cała ozdoba sypialni królewskiej.

Salon, położony naprzeciw sypialni, jest również oświetlony dwoma oknami, zwróconemi na wspaniałe pomarańcze, jakich mało na świecie. Obicia salonu, barwy starego złota, są jedwabne, meble złoczone, a wszystko oddycha świeżością i wdziękiem.

Apartament drugiego piętra, położony nad apartamentem królowej, ma tożsamo urządzenie i jest przeznaczony dla córki, księżniczki Beatryczy i dla jej męża. Resztę hotelu zajmuje dwór i służba.

Na dworcu powitali królową prefekt i burmistrz miasta; 23-ci batalion strzelców pełnił służbę honorową. Miasto okryło się sztandarami francuzko-angielskimi; dwie bramy tryumfalne wzniesiono z kwiatów.

Niewiadomo z jakiego powodu, i dla jakiej przyczyny, ale zdawidawna, jakby na przekór zwyczajom całego świata chrześcijańskiego, dzień Środopostcia, jest też przeznaczony na obchód, jakby święta wielkiego, specjalnej i wyłącznej zabawy praczek!

Przez cały ten dzień środopostcia Paryż należy się praczkom, a szczególnie ich królowej, bo na ten dzień cała przeciwna korporacya, cech, czy jak chćecie to nazwać, *Pralnika*, wybiera swoje królową, i z największą wystawą i w tryumfie na złoconych rydwanach, z muzyką i rozwiniętymi sztandarami, obwozi ją i dwór jej, w świetnych, a dziwnych strojach, po ulicach Paryża, ciśnie się ogromnym potokiem i oddaje hołd tej chwilowej potędze, przewidzianej, w zwykłym trybie życia, do płukania brudów milionowego grodu.

Wybrana królową jest w ten dzień panią ogromnej armii, która się składa ze stu tysięcy kobiet i jedenastu tysięcy przedsiębiorców i służby mężkiej. Prześwietna ta korporacya jest to ciało złożone i skomplikowane w dość jawity sposób. Liczy ona w swoich szeregach: 35.000 praczek i prasowniczek, tak zwanej cienkiej bielizny (*de fin*) 1.300 *apprêteuses de neuf*, przyrządzających bielizną nową do magazynów i fabryk, 1.500 *batehères*, (pralniczek) i 3.000 zajętych pierwszym płukaniem brudnej bielizny itd. i t. d. Cały ten zastęp niewieści zarabia tygodniowo od 15 do 35 franków, a poświęca tej pracy dziennie od 12 do 15 godzin!! \*).

Tego roku wybraną królową tej armii była panna Sicard, królowa królowych, wybrana przez czterdzieści stowarzyszonych pralni.

Mocna brunetka, tłuściutka, oko czarne, żywym błyskającym promieniem, usta pełne i duże, panna Sicard z pralni Milona, ma lat dwadzieścia sześć; podwakroć już towarzyszy jej i chlebodawczyni (*patronnes*), wybierały ją jednogłośnie za prezydentkę, bo prezydencya środopostcia jest tu również obieralną wielokrotnie, jak i prezydencya Rzeczypospolitej. Powiadają tu nawet, że profil panny S., mający niejaki podobieństwo do tego popiersia, które przedstawia Rzeczpospolitą, nie był obcym temu wyborowi —

\*) Do tej liczby nie wchodzą praczki extra muros Paryża.

i zaprawdę, trygijka czerwona na tych kruczych warkoczach była jej bardzo do twarzy.

Miejscem przeznaczonym dla formacyi ordynku rydwanów i wozów był plac wokoło kościoła ś-ej Magdaleny. To też, zacząwszy od południa, niezmierny a mieszany tłum zawałił chodniki i sąsiednie ulice, a szczególnie bulwary Malesherba i Magdaleny. Więcej może niż trzy tysiące osób, jak stado kormoranów, zasiadło olbrzymie wschody Magdaleny. A kiedy promienie słoneczne od czasu do czasu oświecały fronton tej świątyni, widok był nadzwyczaj malowniczy i piękny.

Cierpliwość wszakże publiczności wystawioną była na niemałą próbę. Zamiast południa, około wpół do trzeciej godziny dopiero, pierwsze przybyły powozy na plac wyznaczony. Nakoniec około 5-ej godziny zjawily się prawdziwe karnawałowe rydwany, powitane okrzykiem publiczności, wielkiem *ah!*, jak zwykle.

Piękny i bardzo elegancki breack królowej, pięknie ozdobiony kwiatami, dzielnie zaprzężony, odniósł palmę pierwszeństwa, a przyjęty był oklaskami publiczności. Wesoła królowa musi się kłaniać uprzejmie, naprawo, nalewo. Jak powiadają Francuzi, zdawała się wierzyć, że „*c'étoit arrivé*“. O armii orszaku niema się co rozpisywać tutaj, dosyć powiedzieć, że całość wyglądała pokażniej niż zwykle, większa część wozów była przystrojona obficie w kwiaty i sztandary. Stroje były świeże i błyszczące od złota, które, chociaż fałszywe, zdawało się kapać dokoła.

Cały ten orszak poruszał się wolno, taki był ścisk publiczności, a pochod pomiędzy Magdaleną i bulwarem Montmartre skończył się zaledwie około godziny piątej. Co się stało dalej, nie należy już do wielkiego świata. — Na placu Rzeczypospolitej, dawniejszym „Place Château d'eau“, zgromadzeni byli sędziowie, mający rozdać nagrody, ale kiedy orszak dotarł do tej mety by już późno i sędziowie, ucałowawszy na ten raz królową, przy oklaskach ludu rozdanie nagród odłożyli do przyszłej niedzieli.

Przyznać jednakże należy, że koniec tego festynu zostawił nam dość przykre i smutne wrażenie. Publiczność, niestety, złożona, w swej ruchliwej całości, z drożdży demokratycznych, była ohydna i nawet niebezpieczną. Szturhania i popychania, — była to zwykła moneta.

Nazajutrz przecież dzienniki nie omieszkały ogłosić, że najserdeczniejsza wesołość i wielka grzeczność nie przestały panować w tym tłumie!

Uszanujmy milczeniem to złudzenie, ale nie trzeba było się zatrzymywać na zalanych przez tę tłuszcę chodnikach.

Kiedy tak rozbawiony i roztańczony Paryż ugania się i pędzi za tryumfalnym wozem królowej praczkarni i środopostcia zamienia na karnawałowe zabawy — cześć religijna, wielkopostna nie traci bynajmniej na tych wybrykach, żadnej okruszyny ze swej powagi. Kościoły są przepelnione wiernymi słuchaczami słowa Bożego, we Środy i Piątki trudno znaleźć miejsce na wieczornych naukach i kazaniach, kiedy się rozpoczyna rekolekcyje dla mężczyzn, to jest od 16 do 24 Marca. Tego roku, tak zwane tutaj *conférences et retraites* odznaczyły się szczególnie napływem i gorliwością słuchaczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Dobra chwila pani Heleny.

(Dokończenie).

- Dziwnie pan tajemniczy... — szepnęła.
- Wydają się tylko takim.
- Jakż jest więc grunt pańskiego charakteru?
- Taki, jak kogoś, kogo darzyła pani niegdyś całym zaufaniem i całą miłością...
- Nowa zagadka.



mężczyzny we fraku, w którym domyśliła się gościa. Sylwetka ta przy pojawieniu się jej zgięła się w pokłonie i pozostała na miejscu.

Do pani Heleny podszedł mąż i rzekł:

— Przynależę ci niespodziankę i dotrzymuję słowa...

Cofnął się, ujął pod ramię gościa i, podprowadzając do żony, wygłosił dobitnie:

— Juraś, syn Teosi.

Krzyknęła, usłyszawszy te słowa; krzyknęła powtórnie, podniósłszy oczy na młodzieńca...

Stał przed nią nowy znajomy z ogrodu, wykwintny a serdeczny pan Adolf.

Pociemniało jej w oczach, chwyciła się ręką za serce i upadła na krzesło, zemdlona.

Długo, długo płakała pani Helena po ocuceniu.

Razem ze łzami, spływały z serca jej wszystkie złudzenia i wszystkie gorycze.

U stóp jej klęczał i po rękach ją całował Juraś, syn siostry jej i przyjaciółki, a ona nie słyszała nawet, jak powtarzał głosem pokornym:

— Daruj mi, ciotko, żem ci się odrazu we własnej osobie nie przedstawił... Wuj temu winien, bo chciał utrzymać do końca niespodziankę... Ale ja wiem, że nie godziło się żartować, nawet tak niewinnie, z ciebie, najlepsza i najmilsza cioteczko...

Pani Helena powstrzymała wreszcie potok łez gorących.

Odjęła chustkę od twarzy, otoczyła ramieniem szyję młodzieńca i zatapiając w jego źrenicach głębokie swych oczów wilgotnych spojrzenie, rzekła:

— Słuchaj, Jurasiu: przysięgam, że ci zastąpię matkę...

Przygarnęła go do siebie i dodała z mocą:

— I przysięgi tej dotrzymam.

Przy tych słowach czule, serdecznie, po-macierzyńsku, pocałowała go — w czoło.

Wiktor Gomulicki.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą na zasadzie sprawozdań ministerium spraw wewnętrznych, iż liczba włościan emigrujących z Rosyi europejskiej do Syberyi dosięgła liczby 30.000 dusz.

— W jesieni bieżącego roku odbędzie się Moskiewie zjazd właścicieli kopalni złota, w celu obmyślenia środków zapobiegających ucieczkom robotników z tychże kopalni.

— Wystawa w Wilnie zostanie otwarta dnia 13 Września z trwaniem dni dziesięciu; wezmą w niej udział, jak zawsze, mieszkańcy okolic wileńskich, grodzieńskich i mińskich. Program wystawy został rozszerzony przez dopuszczenie wystawców z Królestwa w dziale drobnego domowego przemysłu (dział VII); cena miejsc na wystawie jest stosunkowo niska, należy je zamawiać w Wilnie, w kancelaryi „Towarzystwa wyścigów konnych“. Wystawy wileńskie mają pewien charakter jarmarków, gdyż zwykle wszystkie okazy znajdują zbyt na warunkach bardzo korzystnych, co też zapewnia im stale znaczną liczbę wystawców.

— Zmarły w Wilnie filantrop Kazimierz Jagiełło zapisał ostatnią swą wolą, jak doniosły

dzienniki: 5.000 rs. na niezamożnych uczniów gimnazjum wileńskiego wyznania katolickiego; 3.000 rs. na uczniów katolickiego seminarium w Wilnie; 2.000 rs. dla Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności; 5.000 rs. na utrzymanie orkiestry katedralnej w Wilnie; 3.000 rs. na rzecz katedry wileńskiej.

— Odczyty na rzecz Towarzystwa Osad Rolnych rozpoczęły się dnia 5-go Kwietnia w Sali Ratuszowej. Przemawiał p. Edmund Jankowski, nauczając, jak hodować kwiaty w pokojach i przytaczając korzyści higieniczne z ich utrzymywania. Napisana przez tegoż p. Jankowskiego, pożyteczna dla ziemian, a zwłaszcza ziemianek, książka: „Ogrodnictwo Przemysłowe“, wyszła świeżo z druku, a zaznaczyć tu należy, że traktuje się tutaj jedną z ważnych gałęzi pracy kobiecej na wsi. Jest to tom IV-ty „Biblioteki Ogrodnika Polskiego“.

— Towarzystwo Sztuk Pięknych wybrało na vice-prezesa p. Lucyana Wrotnowskiego, na kasyera p. Michała Józefowicza, na gospodarza wystawyp. Romana Szwojnickiego, na zarządzającego salą rysunkową p. Miłosza Kotarbińskiego.

— Obraz Chełmońskiego, większych rozmiarów, przedstawiający stado kuropatw wśród śnieżnej zadymki w polu, natychmiast po wykonaniu został nabyty i wysłany będzie na wystawę berlińską.

— W Berlinie wyszło trzecie wydanie przełożonej na język niemiecki powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“.

— „Życie“ tygodnik ilustrowany, wydawany nakładem T. Paprockiego, przestał wychodzić dla braku prenumeratorów.

— Grono lekarzy, poświęcających się specjalnie leczeniu chorób kobiecych: Borysiewicz, Ficki, Gromadzki, Kapliński, Kuniewicz, Rogowicz, Thieme, Tyrchowski, Winawer, zawiązali spółkę z celem założenia nowego szpitala dla kobiet. Wybrano już na ten cel plac w okolicach ulicy Pięknej, gdzie kosztem spółki ma być wzniesiony gmach, zbudowany według najnowszych ulepszeń higieniczno-sanitarnych, z obszernym ogrodem dla przychodzących do zdrowia. Zakład będzie podzielony na kilka oddziałów dla mniej i więcej zamożnych osób; znajdować się tam będzie wzorowo urządzona sala operacyjna.

— Dyrekcyja teatrów warszawskich zezwoliła na ustawienie w foyer Wielkiego Teatru pomnika Moniuszki, z warunkiem dokładnego przedstawienia sobie techniczno-artystycznych warunków dzieła. Stan. Lewandowski, rzeźbiarz ze Lwowa, zamierzając stanąć do konkursu ogłoszonego na pomniki: Moniuszki, Królikowskiego, Żółkowskiego przybył do Warszawy w celu zgromadzenia materyałów potrzebnych mu do wykonania przedsięwzięcia.

— Czeskie „Ateneum“ zamieściło artykuł o życiu i pracach B. Kvieta, profesora b. Szkoły Głównej w Warszawie.

— W Krakowie wyszła napisana po-hebrajsku przez Rabina Brandesa broszura o Mickiewiczu i jego życiu, dziełach i stosunku do Żydów.

— Muzyka posiada nieprzerwany ciąg cudownych dzieci. Mozart w siódmym roku życia napisał swój koncert na fortepian, w ósmym symfonią na orkiestrę. Schubert, mając lat trzynaście, dyrygował orkiestrą, tworzył pieśni, sonaty, msze, Mendelssohn w jedenastym roku życia zaczął komponować systematycznie. Występy publiczne znakomitych wykonawców muzyki są jeszcze liczniejsze: Liszt wystąpił publicznie z grą swoją mając lat dziewięć, najznakomitsza pianistka swego czasu, Klara Wieck-Schumann, w dziesiątym roku życia grała koncerta Hummela i Mozarta, przy akompaniamencie pełnej orkiestry;

Joachim, żyjący jeszcze skrzypek, popisywał się publicznie w siódmym roku, a w dwunastym już go uważano za znakomitego wirtuoza. Obecnie jest takim cudownym dzieckiem Jan Gérardy, trzynastoletni wiolonczellista, Belgijczyk, którego portrety podają angielskie pisma muzyczne. Koncertuje on teraz w Londynie w Pałacu Kryształowym. Urodzony w Liège 1878 r., kształcił się pod kierunkiem ojca swego, który jest profesorem w konserwatorium muzycznym w Liège. Mając lat dwanaście, przybył do Londynu i wystąpił raz pierwszy ubiegłej zimy z koncertem Goltermanna *A minor*, z fantazyą Servais'go *Le Desir* i innymi utworami muzycznymi, zadziwiając i zachwycając znawców grą swoją. Pisma angielskie, nie szczędząc pochwał stylowi jego gry, uczuciu i expressyi, piszą, że jest mało co większym od instrumentu swego. Obecnie cudowne chłopię wróciło do kraju, do domu rodzicielskiego, ale pozyskanego powodzenie znęciło — czy jego mianowicie? niewiadomo — przecież ma wrócić wkrótce do Londynu, aby dać seryą koncertów w Pałacu Kryształowym, w sali St. James Hall. Dzienniki piszą, że jeżeli sprawdzą się tutaj słowa Milтона: „Dzieciństwo tak objawia wiek mężki, jak poranek jest prorokiem dnia“... świat posiadzie jedną więcej znakomitość muzyczną. Na portretach, które dają pisma angielskie, master Gerardy przedstawia ładnego chłopca z bujnym włossem, wysokim czołem i dużemi oczyma.

## Encyklopedia Ilustrowana

## MEDYCYNY I HYGIENY

### POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

D-ra Józefa Starkmana.

Zeszyt XXII wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Przyprawy, przyranne środki, przyswojenie, przyzwyczajenie, Półna, puszczenie krwi. Rałka, rak, ranieni, rany, Reheme, Reinerz, reumatyzm, ręka i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rubli 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9 kop. 50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Fryderyk Szopen, jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juljusza Stattlera. — Nowiny Paryżkie. — Dobra chwila Pani Heleny, przez Viktora Gomulickiego (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — Przegląd mód. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 27 Марта 1891 года.



## PRZEGLĄD MÓD.

Rozmaitość fasonów staników i sukien oraz ozdób takowych.—Jakie mody się utrzymują.—Berty koronkowe.—Talmy długie, ubierane czarną blondyną.—Jakie okrycia nosić mają podlotki i młode panienki.

Tyle jest fasonów staników, że doprawdy jak je opisywać i co ostatecznie za modne uważać nie wiemy—podajemy jednak w piśmie naszym tyle wzorów rozmaitych fasonów, że czytelniczki oglądając je z uwagą i czytając opis do każdego rodzaju i do każdej formy dołączony, z łatwością same wybiorą sobie co im do gustu przypadnie. Gdyby, jak to dawniej bywało, jeden był ogólnie przyjęty fason za modny i wszyscy się do niego stosowali, o ileż łatwiej by było pisać sprawozdanie z mody obecnej—dziś jednak trudność ta jest zbyt wielka, bo jeden stanik do drugiego niepodobny, każdy prawie nie tylko ozdobami, ale samym krojem różni się od drugiego. Należy więc bacznie rozglądać się w rycinach, z nich czerpać pomysły i fantazyę, która rzeczywistość jest dziś kwintesencją mody. Naprzykład, cóż jest za podobieństwo w dwóch następujących stanikach. Stanik z kamizelką białą sukieną, zapiętą na drobne złote guziczki, z pod której widać plastron ciemny, z którego to materiału zrobiony cały stanik w kształcie hiszpańskiego kaftanika, wcięty w pasie a brzegiem haftem złotym zdobny. Biały, sukieny, wysoki pasek haftowany złotem otacza kamizelkę, rękawy bufiaste nad łokciem, od łokcia płaskie, sukienne, spięte na złote guziczki. Drugi stanik fularowy udrapowany w kliny na piersiach, z pod którego widać plastron prosty, zakończony kołnierzem. Owo udrapowanie spięte z boku na cały rząd maleńkich kokard, jedna od drugiej większych; do tego rękawy bardzo suto namarszczone, raptownie wąskie od łokcia, na które spada niby falbana szeroki górny rękaw. Gdzież jest podobieństwo między temi dwoma a trzecim modelem, mogącym służyć do odświeżenia noszonej sukni. Stanik cały przybrany starymi koronkami, szeroka falbana z małym nagłówkiem tworzy baskinę z pod paska stanika z małym bawetem z przodu; wążka pasmanteryja z koronki i pereł, otacza w kształcie szelek żabot z koronki czarnej, której pierwszy feston zakończy kołnierz z krawatką. Epolety z koronki spadają na dwie strony na ramię, ściągnięte w środku kokardą z prostych pukli.

To garniowanie czarne koronkowe łatwe do naśladowania, bardzo dobrze może odświeżyć suknię kolorową jedwabną. Dół spódnicy wtedy zdobi się wolantem, który można naszyć prosto w około, lub naszyć go w festony jak lambrekin, podpinając z jednej strony sutym tufem koronki. Gdzież jest jednolitość tych sukien?

Taż sama rozmaitość w spódnicach, coraz mniej w nich jednostajności, nieznaczne koszyczki „paniers“ otwarte tiuniki, spadające płaskie draperye, poły jak u fraków męzkich, koronki, hafty, kokardy, pasmanteryjne figury i ozdoby, riusze, kawałki oddzielnego haftu perlami i kamieniami na gładkich przodach, w końcu ażurowe kwadraty z dżetu lub siatki metalowej— a każda odmienna jedna od drugiej.

Mody Walezyeuszów dzięki wysokim kołnierzom i małym toczkom utrzymują się ciągle. Długie talmy czyli płaszcze konieczne pod ręką, nawet w lecie robią po większej części z miękkiego sukna, zdobiąc w górze blondyną szeroką czarną, która suto namarszczona spada w kształcie pelerynki na plecy, a naszyta dalej płasko, w tyle kończy się falbaną w dole. Na takie płaszcze zawsze jeszcze używane są kolory popielate, niewyraźnie wpadające w różowawy, niebieskawy,

zielonawy lub liljowy, za to podszewka atlasowa lub jedwabna w kraty jest zwykle jaskrawego koloru. Co do koronek, nosić będziemy berty z koronek na wszystkich lekkich sukniach fularowych, satynowych a nawet płóciennych, a modę tę naśladować będą nawet dzieci. Te ostatnie zaczynają już w Paryżu nosić długie sukienki, sięgające aż do kostek, pewno dla tego, aby przy obecnej modzie małych trenów dla starszych nie zostać w tyle. Na pytanie, jakie okrycia nosić będą młode panienki podlotkami zwane, odpowiadamy, że najwłaściwsze są pół długie żakietki w jasnym kolorze, który stosuje się do każdej sukienki. Oprócz żakietek bardzo właściwe dla pańienek są pelerynki o dwóch lub trzech falbanach, które, gdy za gorąco, łatwo na rękę zarzucić.

L. C.

## Fartuszek dla panienci od 5—7 lat.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 14. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 56).

Fartuszek z dymki angielskiej koloru granatowego w białe pasy i przybrany takimże materiałem w deseń kropkowany. Skrajac podług fig. 56

jedną część złożoną wzdłuż środka i ułożyć w kontrafałdy, mocując każdy  $\dagger$  na kropce. Składki fałd przystębnować, ale przed tem wszyć pomiędzy fałdy szlaczek 4 c. szer. (przyszyć to pokryte kontrafałdą). Na dolną część fartuszka, skrajac część 37 c. długą a 114 szeroką. Dolny brzeg zaopatrzyć obrąbkami 2½ c. szer., tylne zaś brzegi obrabić węziej. Górnego brzegu części zmarszczyć odpowiednio do szerokości części stanu, do którego część dolną przyszyć. Połączenie zaś pokryć paskiem podług ryc. Falbana 4 c. szer. wykończy górny brzeg stanu. Do rogów górnych przyszyć paski 4½ c. szer., które krzyżują się z tyłu i spinają na guzik na 6 c. odległości od tylnego brzegu.

## Peleryna z materiału wełnianego prążkowego.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 14. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 54 i 55).

Peleryna z materiału wełnianego koloru piaskowego, przybrana haftem wykonanym jedwabiem koloru ciemno-brązowego. Skrajac fig. 54 i 55 po dwie części, po dopełnieniu złożenia



Nr 1. Suknia wieczorowa dla młodej osoby. (Op. pierw. str. tabl.).

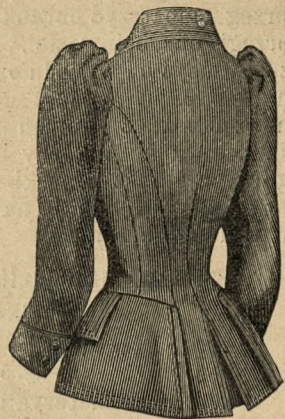
Nr 2. Suknia dla panny młodej (do ryc. Nr 5). Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 41—17.

i przydłużeniu stosownie do potrzeby w kierunku strzałki (wzór przedstawia długość w przednim brzegu 55 centim.). Części podszyć muslinem od górnego brzegu aż do linii. Przenieść deseń na materiał z uwzględnieniem kroju i wykonać takowy również w części tylnej ścięciem łańcuszkowym. Zaopatrzyć podszewką jedwabną, zmarszczyć w górze od \* do \*, zeszyć podług cyfr, do brzegów zewnętrznych przyszyć listwę z materiału jedwabnego i umocować dwa † na jednej kropce. Kołnierz zaopatrzyć podkładem i podszewką zeszyć od 52 do 58 i przyszyć do pelerynki od 52 do 59.

### Mantylka z wigoni.

Rycina Nr 16 i 3 w Bl. Nr 14. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 44—49).

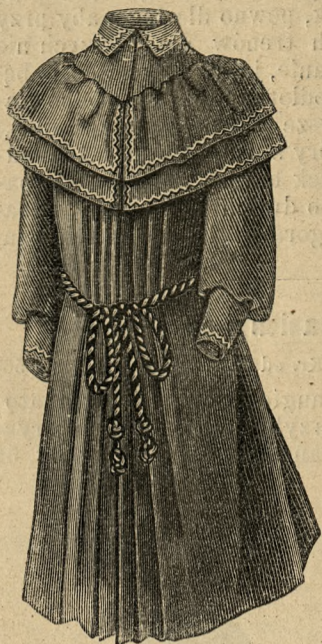
Skrajać z wigoni koloru popielatego fig. 44, 46, 47 i 49 po dwie części. Fig. 45 i 48 po jed-



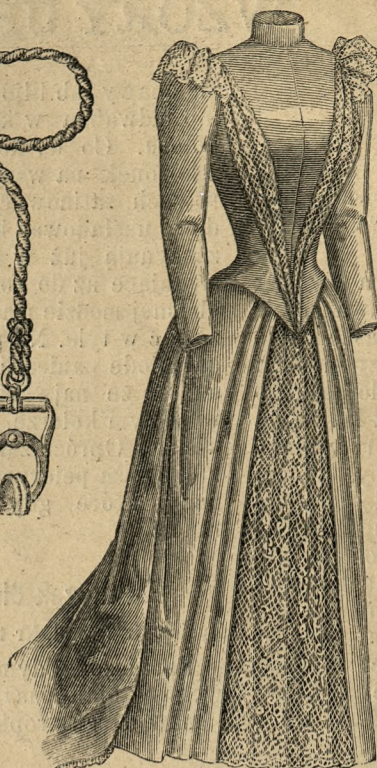
Nr 4. Tylna część zakietu Nr 17 w Bl. Nr 14.



Nr 3. Sznur do unoszenia sukni. (Op. pierw. str. tabl.).



Nr 6. Przednia część płaszczka Nr 21 w Bl. Nr 14.



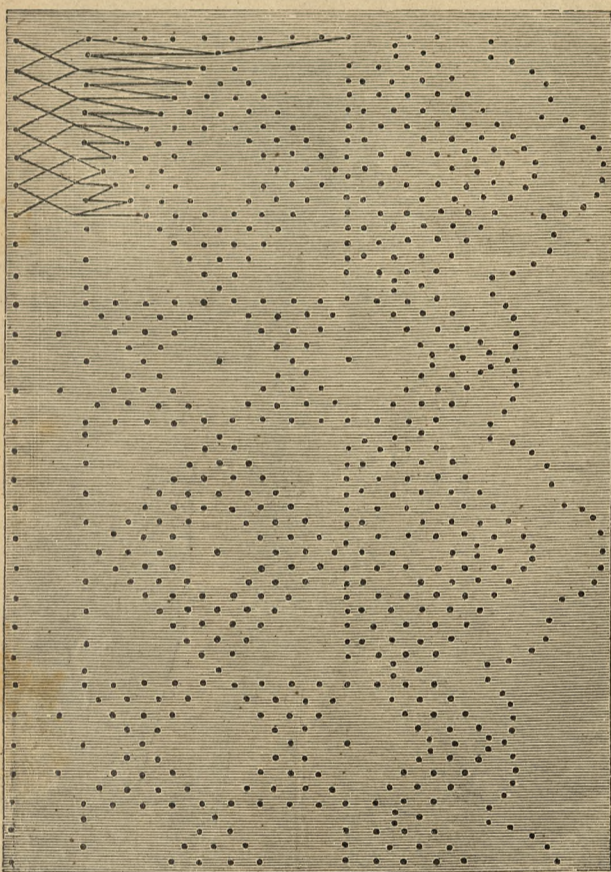
Nr 5. Przednia część sukni Nr 2 (ze skróconym trenem).

czek i kołnierz podkładem, zeszyć karczek od 45 do 46, pelerynę od 47 do 48 i od 45 do 50. Ozdobić haftem, zmarszczyć w górze od 47 do dwukropka i od 45 do \* i najprzód umocować spodnią pelerynę do karczka od 47 do 49 wzdłuż gładkiej linii. Następnie wierzchnią pelerynkę przyszyć do karczka od 45 do 49. Obydwie peleryny zeszyć wzdłuż przedniego brzegu, przyszyć hafteczki do zapinania i kołnierz ozdobiony haftem od 45 do 49. Wyłożyć takowy wzdłuż linii zgięcia.

### Mantylka z wigoni.

Rycina Nr 22 i 2 w Bl. Nr 14.

Mantylka z wigoni koloru piaskowego, podszyta materiałem jedwabnym, ozdobiona pasmanterią czarną jedwabną rozmaitej szerokości. Pasmanteria przetykana złotą i stalową nitką. Dolny brzeg otoczony frendzlą sznelową mieszaną z niemi metalowymi. Kołnierz „Médicis“ wykonany z odpowiedniej pasmanterii 7 cent. szer. Dla uwydatnienia figury należy przyszyć pod spodem wstążki do wiązania.



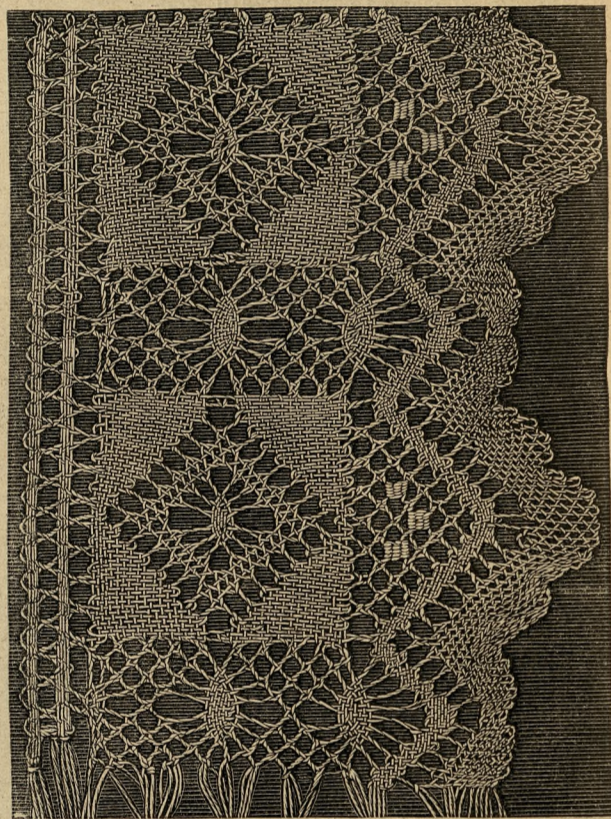
Nr 7. Wzorek do roboty klockowej (wielkość oryginalna) do ryc. Nr 9.

nej części złożonej wzdłuż środka. Karczek zaopatrzyć podszewką jedwabną i zeszyć takowy od 34 do 35. Następnie przednią i tylną część peleryny połączyć z rękawami przyozdobionymi haftem maszynowym. Przybrać takowe podług ryc. czarną wstążką. Ułożyć w fałdy przednią i tylną część wzdłuż górnego brzegu, pierwszą na 10 c. szer., ostatnią na 20 c. Rękawy zmarszczyć od \* do \* i zebrane części przyszyć do karczka od 40 do 41 wzdłuż linii gładkiej. Kołnierz zaopatrzyć podkładem i podszewką wszyć od 42 do 44. Karczek i kołnierz ozdobić haftem maszynowym i przednie części zaopatrzyć w haftki do zapinania.

### Pelerynka z końcami.

Rycina Nr 19 i 6 w Bl. Nr 14. (Kr. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 50—53).

Pelerynka z sukna koloru piaskowego, ozdobiona haftem wykonanym ścięciem rybiej łuszczyki jedwabiem nieco ciemniejszego koloru. Po dopełnieniu złożonych figur i przedłużeniu w kierunku strzałki stosownie do potrzeby figur skróconych (wzór ma długości do wycięcia szyi 86 c.), skrajać z sukna i podszewki jedwabnej fig. 50 i 53; tylko z sukna fig. 51 i 52 po dwie części. Zaopatrzyć kar-



Nr 8. Koronka klockowa (do ryc. Nr 7 i 9).

### Poduszka pod nogi ozdobiona haftem.

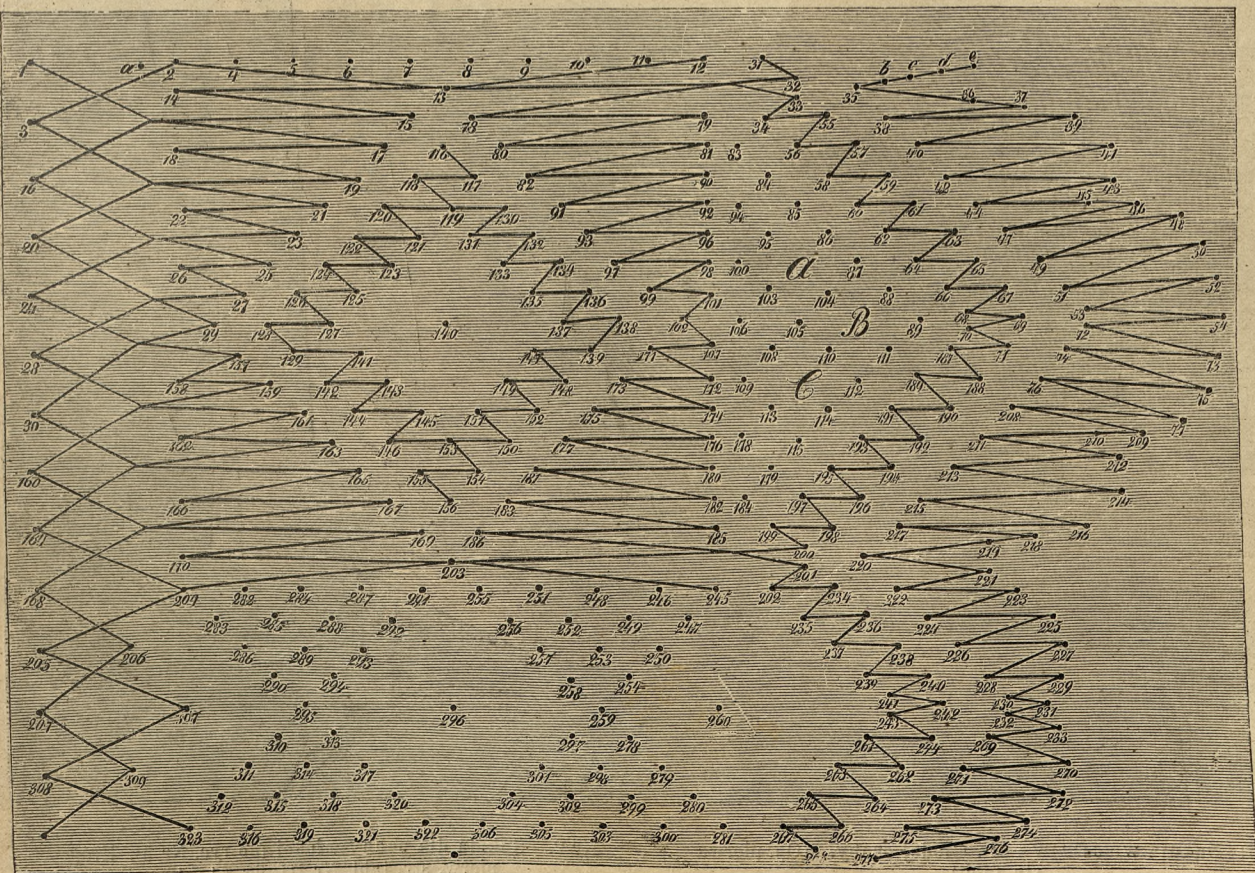
Rycina Nr 24 i 25 w Bl. Nr 14.

Poduszka wykonana na grubej dzielonej kanwie, rozmaitego koloru sznelą oraz wełną „sudan“ koloru oliwkowego w dwóch cieniach pół ścięciem krzyżowym. Ryc. Nr 25 przedstawia wzór na deseń. Brzeg poduszki pokryty pluszem, na który spada frendzla pasmanteryjna, zakończona po rogach 4-ma kwastami.

### Strój panny młodej.

Ryc. Nr 2 i 5. (Kr. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 14—17).

Suknia z materiału jedwabnego „faille“. Wykonać najprzód spódnicę z podszewki z małym trenem. Dolny brzeg otoczyć falbanką. Przednią część pokryć rodzajem fartuszka z koronki na podkładzie jedwabnym, boki ułożone w dwie fałdy szerokości 12 cent., tylna część wykończona falbaną 50 c. wysok. Co do wetmana z powłóczystym trenem, należy po dopełnieniu złożenia fig. 14 i 16 i przedłużeniu w kierunku strzałki fig. 16, skrajać podług fig. 14, 15 i 17 po dwie części. Fig. 16 jedną część złożoną wzdłuż środka. Zaopatrzyć części podszewką, kołnierz podkładem a brety treny lekko podwatować. Wykonać zaszewki w przednich częściach i rozperek w fig. 16. Zeszyć przednie części, boczki i plecy podług



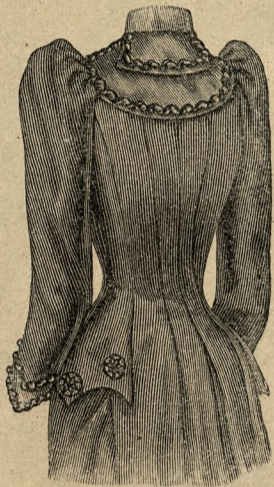
Nr 9. Wzorek do roboty klockowej Nr 8 (powiększony).

cyfr, umocować każdy  $\dagger$  na kropce. Wszyć kołnierzyk od 35 do 48. Wykonać dziurki do sznurowania. Przedni dolny brzeg i pierwsze boczki obszyć wypustką, brzegi zaś boczne trenu listwą jedwabną 8 c. szer. Rękawy wykonać podług fig. 6 tejsze tablicy. Górny brzeg zmarszczyć od \* do \* i wszyć w wetman. Tren wykończyć podług ryc. baleyeus'a z muslinu i koronki 15 c. szerokiej.

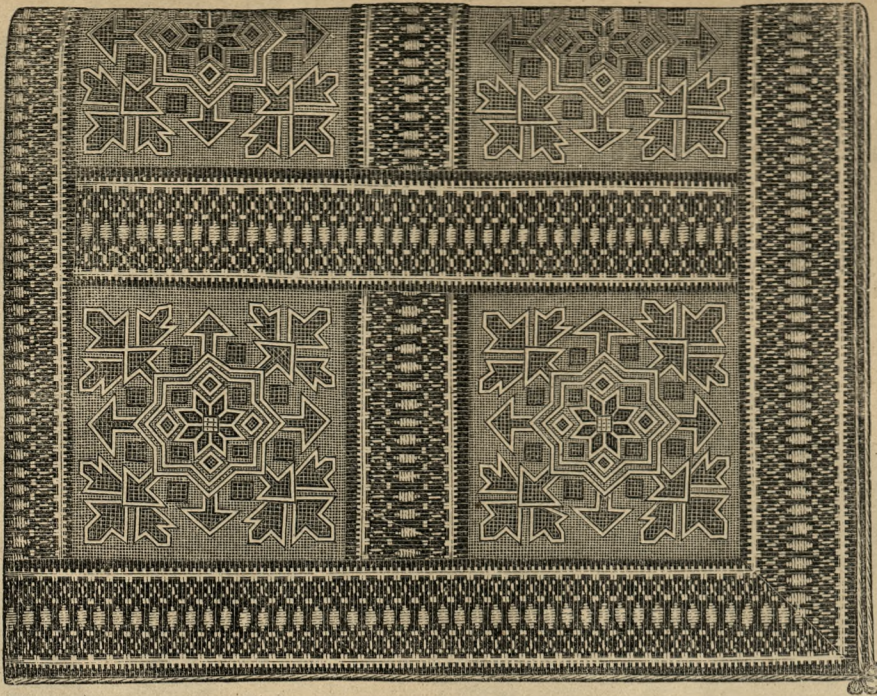
### Suknia z beżu.

Rycina Nr 11 i 16. (Krój pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1-6).

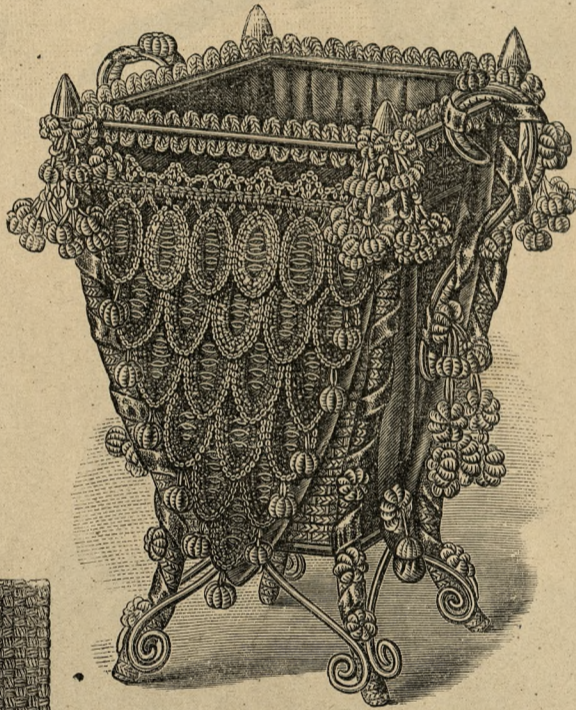
Suknia z beżu koloru piaskowego w dwóch cieniach, przybrana „surah“ w ciemniejszym kolorze i pasmanteryą z jedwabnego sznureczka. Wykonać spódnicę z podszewki i takową w dolnym brzegu obszyć na 10 cent. wysokości beżem ciemnym. Część przednią wykonać podług ryc. w fałdy zwrócone ku środkowi, na co użyć część beżu 60 c. szer. w kolorze jasnym. Boki skrajane podług fig. 1 i dwie części z beżu ciemniejszego, podszyć takowe na kilka c. odległości od przedniego brzegu muslinem i surah po za linią. Wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, otoczyć wyłożenie pasmanteryą ze sznureczka, umocować 3  $\dagger$  na 1 kropce, materiał niepotrzebny wyciąć, zmarszczyć lekko od fałdy do \* i przyszyć do spódniczki z podszewki. Wetman skrajac podług fig. 2-4 i 6 po dopełnieniu złożenia i przydłużeniu fig. 4 w kierunku strzałki stosownie do potrzeby; z podszewki podług fig. 2, z beżu ciemnego podług fig. 3. 4 i 6 po dwie części. Fig. 3



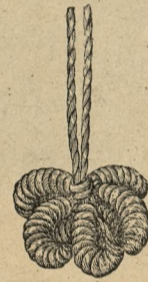
Nr 11. Część tylna sukni Nr 16 (skrócona).



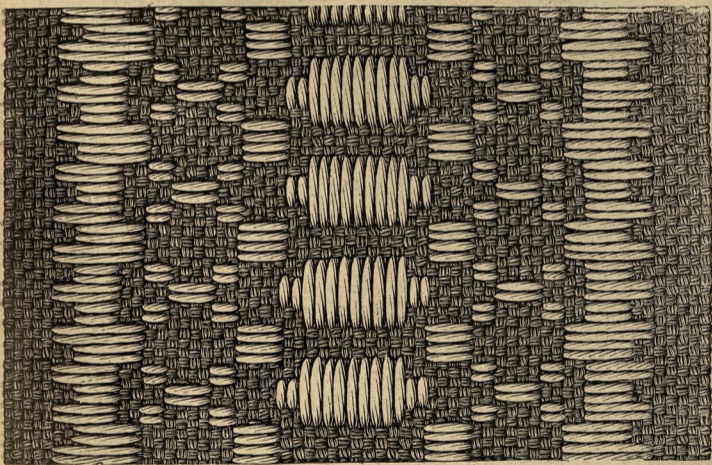
Nr 10. Serweta na stół ogrodowy lub balkonowy. Ścieg krzyżowy i płaski (do ryc. Nr 14), deseń kwadratów odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 17.



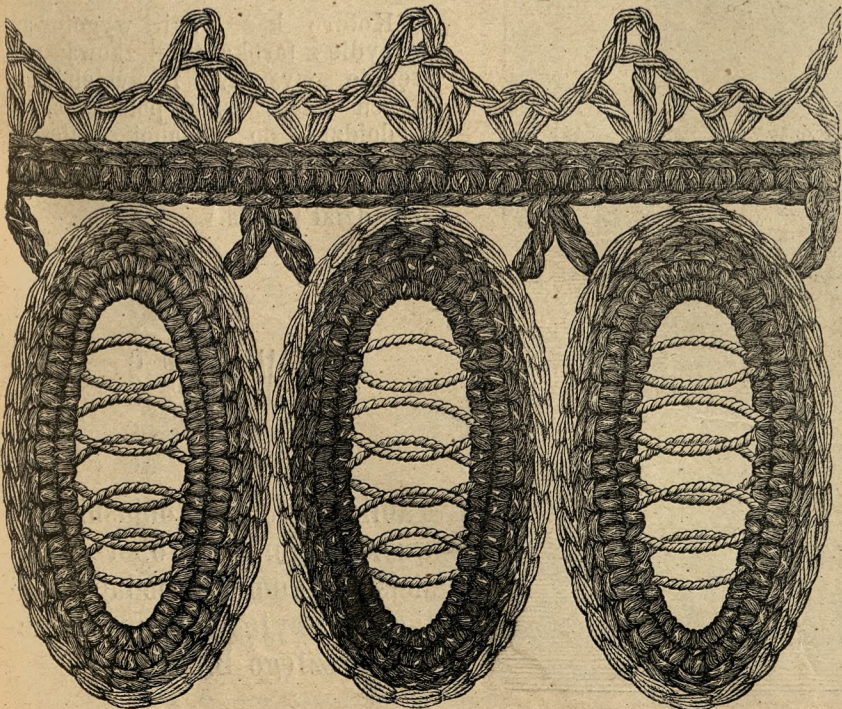
Nr 13. Koszyk na paplery ozdobiony haftem (do ryc. Nr 12 i 15).



Nr 12. Grelot do koszyka Nr 13.



Nr 14. Szlak do serwetki Nr 10 (wielkość oryginalna).



Nr 15. Część ozdoby do koszyka Nr 13 (wielkość oryginalna).

jednak z uwzględnieniem wystającego konturu lewej przedniej części. Z „surah“ fig. 5 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu górnego kołnierza. Wykonać pierwsze zaszewki w podszewce oraz wskazane fałdy w przednim brzegu i pokryć część rodzajem napiersnika z jasnego beżu, należy przydać nieco materiału przy prawej przedniej części, które jak rycina wskazuje, przybrana jest guzikami i spięta na lewej części. Po zaopatrzeniu podszewki w haftki do zapinania, pokryć przednie części z materiału na kilka cent. po za linią kropkowaną miękkim podkładem i „surah“, dalej zaś aż do zaszewek beżem, przyfastrygować część do podszewki i jednocześnie podszyć boczki nacięty oraz plecy aż do składu fałdy. Wykonać szew w przednich częściach od 1 do 2 oraz zaszewki. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr i umocować w fig. 4 każdy  $\dagger$  na kropce, jako też dwa  $\dagger$  na jednej kropce. Kołnier z jasnego beżu (można takowy wykonać podług fig. 17, ale zeszyć takowy z przodu nie z tyłu) zaopatrzyć kołnier fig. 5 podkładem i podszewką jedwabną, ozdobić pasmanteryą i wszyć w wetman.

W końcu przednie części wyłożyć wzdłuż kropkowanej linii, kłapy obszyć pasmanteryą, przyszyć guziki do ozdoby i zapinania i odpowiednio wykonać dziurki. Rękawy zaopatrzyć podszewką, dolny brzeg obłożyć na 3 c. szer. „surah“ przybrać pasmanteryą, umocować  $\dagger$  na kropce, zeszyć od 16 do 17, górny brzeg zmarszczyć od \* do \*, wzdłuż rozporoka przyszyć guziki i pentelki ze sznureczka, wszyć trafiając na 17 w 17 przednich części wetmanu.

### Parasole od słońca i „en tout cas“

Rycina Nr 17-21.

Parasole od słońca zdobne koronką na podkładzie z materiałów jedwabnych. „En tout cas“ z dłuższymi łaskami, pokryte materiałem jedwabnym w kolorach ciemnych gładkich ze szlaccami kolorowymi lub też w pasy poprzeczne. Parasole, których wzór przedstawiamy, są z rączkami zsuwanymi dla wygody w podróży. Jedna z ryc. przedstawia parasol zasunięty i mający odpowiedni futerał.

### Suknia spacerowa z materiału gładkiego i w deseń

Rycina Nr 22 i 23.

Suknia z materiału wełnianego gładkiego koloru piaskowego. Przybranie z tegoż koloru materiału w deseń koloru brązowego. Spódniczka z podszewki wykonana zwyczajnym



Nr 16. Suknia z beżu (do ryc. Nr 11). Kr. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1-16.

sposobem, przód pokryty podług ryc. materiałem w deseń, dalej zaś spódnica gładka układana w tylnej części w kontrafaldy, pomiędzy którymi wszyte dwa pasy materiałem w deseń. Stanik z przyszytą połą wykonany podług ryc.

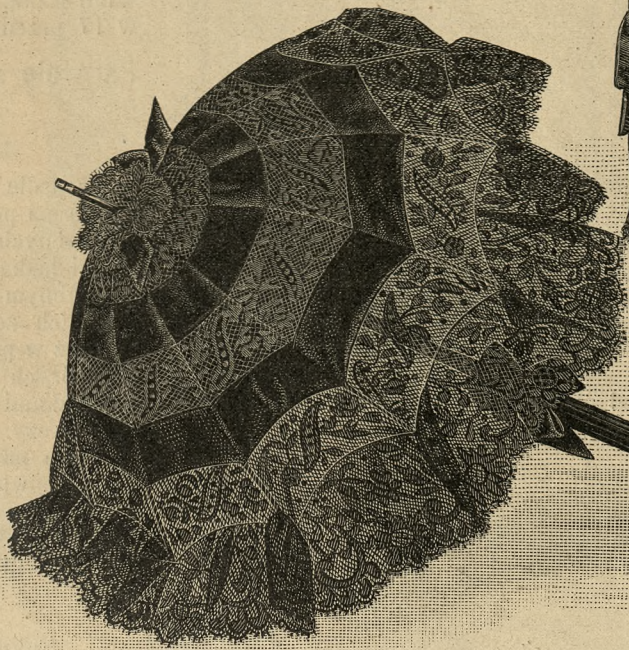
### Suknia z materiału jedwabnego gładkiego i w pasy.

Rycina Nr 24.

Suknia z materiału jedwabnego koloru „heliotrop,” przybrana materiałem tegoż koloru w pasy tkane w sposób ukośny jak widzimy na ryc. Stanik z klapkami w części dolnej. Napierśnik oraz kołnierzyk stojący, wykonany z krepy fałdowanej koloru „mais.” Stanik zapinany na hafteczki z boku.

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z jajami faszerowanymi.
2. Zrazy z kaszą.
3. Karczochoy.
4. Kapłon z kompotem z suszonych moreli.
5. Poncz bity w szklanceczkach.



Nr 17—21. Parasoliki i „en tout cas.”



Nr 22 i 23. Suknia spacerowa z materiału wełnianego gładkiego i w deseń.

Nr 24. Suknia z materiału jedwabnego gładkiego i w pasy.

### Korespondencya.

*Odp. pani B. St.*

Hafty podolskie można nabywać w Warszawie za pośrednictwem pani Raftalowskiej. Adres: Widok Nr 12.

*Odp. p. Z. N.*

Koldrę każ pani wygotować w mydle z farbą tabliczkową; następnie wysuszyć i wybielić na słońcu ciągle wodą polewając, — a dojdzie do żądanej białości. W 2-iem wydaniu kursu gospodarstwa bardzo obszernie traktowany jest dział prania.

### U w a g a.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do numeru zeszłego *Bluszczu*.